Rozmaitości

Dnia 7. Listopada | Ner. 45. | Roku 1840.

TEATR LUDU W NEAPOLU.

Neapol już nie jest tém, czém był przed dwudziestą laty. Gdzież owe legijony lazaronów, którzy na pół nadzy, lub malowniczo w gałgany owinięci na bruku léżeli, albo w koszach z sitowia, jak Dyjogenes w beczce, życie swoje pędzili? Pospólstwo neapolitańskie poznało wartość czasu, a nawet wartość pracy. Zaczęło także przywdziéwać na siebie suknie, i właśnie przezto owa oryginalna powiérzchowność, która w Neapolu z kombinacyi najwyższéj cywilizacyi i z stanu dzikości wynikła, znacznéj odmiany doznała. Dzisiejsi lazaronowie o mało się różnią od pospólstwa innych wielkich miast europejskich; noszą na sobie przeszarzałe suknie bogaczów, i wyjąwszy rybaków, nie wielu już jest, którzy jeszcze w narodowym ubiorze chodzą.

Z tém wszystkiém w zwyczajach i obyczajach, mniejsza zaszła odmiana niż w narodowym ubiorze; charakter ludu nie doznał żadnéj odmiany. Jeszcze bowiem zawsze znajdziesz w Neapolu ludzi, którzy nie mają nazwiska, albo którzy się o niém nigdy nie dowiedzieli, i dla tego nie mają prawa do nabywania posiadłości i występowania za świadków, ponieważ rzeczywistéj tosamości swojéj udowodnić nie mogą. Ci tedy próżniacy z urodzenia zaczęli poznawać niezbędną potrzebę pracy, ale wątpimy bardzo, aby się kiedy w niéj zamiłowali. Pościć dzień cały, jest dla nich jeszcze zawsze mniejszą uciążliwością, niż godzinę pracować.

Pomimo tego od wszelkiéj pracy wstrętu, który połowie ludności jest właściwy, wydaje się przecież Neapol być wielką pracownią, w któréj największa czynność panuje. Zamiast próżnowania między cztérma ścianami, zajmuje się każdy swoją czynnością na ulicy; budy z desek i stoły stykają się jedne z drugiémi; tokarze, ślusarze, krawcy i stolarze śpiéwają, hałasują, śmieją się i znieważają jedni drugich. Jestto nieprzerwany żywy ruch, gwar i zgiełk nieustanny.

Fantazyja ludu tego jest podziś dzień jeszcze tak niewyczerpana, żartobliwa, komiczna i wesoła jak przedtém. Język wyrazisty i obrazowy. Nomadowie na przedmieściach i brzegach morskich opowiadają jeszcze podziś dzień dziwne zdarzenia, podobnie jak mieszkańcy pałaców w *»Tysiąc nocy i jedna.«* Z tąd łatwo wytłumaczyć można owę dziwną mieszaninę, jaka w teatrze pospólstwa panuje. Teatr ludu jest zawsze wiernym wizerunkiem charakteru pospólstwa. Czarnoksięztwo i czarodziejstwo stanowi główną jego podstawę. Na jedności działania zbywa zupełnie; kilka w jednym czasie odbywających się działań sprowadza mnóstwo niespodzianych wypadków i zdarzeń, a rozwinięcie z taką idzie szybkością, iż je widz zaledwie dostrzédz może.

Pospólstwo w Neapolu jest bardzo ciekawe i lubi odmianę; przeto repertoarz teatru jego, mnóstwo dramatów zawiéra. Najpłodniejsi dramatycy neapolitańscy są: Giambattista della Porta, Lombardi, Cortese, Cozenza i Camerana. Większa część dramatów ich jest lekką, uszczypliwą improwizacyją nowin dziennych;

mało z nich improwizacyję przeżyło: Cintia i Sorella pana Porty, moralny teatr pana Genoino i kilka małych komedyj Cozenzy, należą do niewielu tych, które są drukowane. Wybrane te sztuki w ogólności są bardzo średnie i sławę swą winne tylko doskonaléj grze jakowego aktora, albo też jakiéj nowéj sytuacyi, która niezadługo ważność swą traci i w zapomnienie idzie.

Ważność teatru ludu, stanowią szczególniéj dwie osoby: *Scaramuccio* i *il signor Pulcinella.* Piérwszy jest wszystkiém, czém kto chce: margrabią, księciem, panem niezmiernych majętności, które się tylko w jego głowie znajdują; mówi prostacko *à la Casanova*, ale wątpimy, aby równie jak ten ostatni był przewrotnym i bezwstydnym, kiedy twierdzi, iż niebezpieczeństwo jest prawdziwym jego żywiołem. *Scaramuccio* pochodzi w prostéj linii od osławionego bandyty »*Kapitano.*« Podzielił się z przyjacielem *Pulcinellą* swoją zdobyczą. Ten wziął mu duży, spiczasty kapelusz, pstrokaty kaftan i piękną kryzę; *Scaramuccio* zaś przywłaszczył sobie pałasz, którym pradziad jego niejednemu olbrzymowi głowę rozpłatał, a nawet śmierć, własną ręką trupem położył. Oczekuje tylko pomyślnéj pory, w któréjby mógł użyć swego pałasza; ale sposobność ta nie nastręcza się nigdy, bo *Scaramuccio* jest niemal tak waleczny, jak i *Kapitano,* wyzywa on niebezpieczeństwo całém gardłem do walki, a gdy takowe na przeciw niemu stanie, wtedy jak niepyszny bierze nogi na plecy. *Kapitano* żył jeszcze pod panowaniem hiszpańskiém; był zapewne jednym z owych strasznych bandytów, którzy się odznaczyli pod Anghiari i w innych utarczkach, gdzie szybki zwrot konia całe zwycięztwo rozstrzygał. (Pod Anghiarią walczono cztéry godziny, obie strony dwukrotnie most sobie odbiérały, a przecież w całéj téj walce tylko jeden człowiek życie utracił, i to tylko przez to, że spadł z konia i potratowanym został.) W dniach dzisiejszych spoczywa na wawrzynach i opowiada swoje rycerskie czyny. W czasie oblężenia Trebizondy, wdarł się sam jeden do namiotu Sułtana, uchwycił go za brodę i wlókł pośród obozu, drugą zaś ręką zasłaniał się od nieprzyjacielskiego wojska. Gdy powrócił do miasta, pancérz jego tak dalece strzałami był natkany, iż *Kapitano* jak jeż wyglądał. Od tego czasu nosi jeża w swym herbie. Inną razą udał się sam jeden na pokład galery Barbaresków, która się przy wybrzeżu Sycylii pokazała; dobywszy pałasza, sprawił tak okropną rzeź między korsarzami, iż pokład okrętowy do jatek był podobny. Przerażeni Saracenowie rzucili się mu do nóg z prośbą, aby się do portu Messyny zawieźć pozwolił, gdzie bohatéra w tryjumfie przyjęto. Jest on oraz równie grzeczny jak i waleczny; żadna piękność oprzéć się mu nie zdoła. Obala on największe wieże, wysadza najmocniejsze żelazne bramy, słowem jest niezwyciężony.

Scaramuccio równie jak i *Kapitano* jest wielkim czcicielem pięknych kobiét. Podług jego opowiadania jest on drugi *Don Juan.* Gdy wpadnie w dobry humor, wtedy przyjacielowi swemu *Pulcinelli* opowiada swe miłosne przygody. Ten przerywa mu opowiadanie szyderskim uśmiéchem, wykrzykami podziwienia, które jednakże wyraźnie poświadczają, że on w te wszystkie piękne awanturki wcale nie wierzy. *Pulcinella* jest to gbur wielki, ale ma za to wielką znajomość świata i ludzi, gdyż 2000 lat przed erą chrześcijańską, jak sam powiada, bardzo wiele doświadczył i miał z wielą znakomitemi osobami aż nader ścisłe związki, aby kto oszukać go potrafił. *Pulcinella* żył na długi czas przed założeniem Rzymu, mniemają nawet, że jest spółczesnym Faraonów, a sławny francuzki podróżny *Champollion* znalazł grotesk fizyjognomiję jego na kilku malowidłach grobów egipskich. Gdy *Pulcinella* wyprawiał w świecie swe widowiska, nie mieszkał wtedy w Neapolu, bo tego miasta w on czas jeszcze wcale nie było, lecz mieszkał w mieście *Atella,* które niedaleko Kapui nad morzem położone było. Zwał się on podówczas *Maccus,* a gdy Rzymianin *Mea Patacca* utrzymuje, że pochodzi od tego sławnego męża, to się tylko chełpi. Od tego dawnego czasu nie zmienił wcale *Pulcinella* swojéj natury, jedynie ubior jego doznał niejakiéj odmiany. Wezuwijusz równał się jeszcze wtedy urodzajnym nizinom, gdy już podwójny garb

Pulcinelli wyrastał spaniale, i nad jego barki się wznosił; nos jego podobny do niekształtnego dzióba młodego koguta, (od którego nowo-cześnie jego nazwisko (*Pulcinella*) od *pullus gallinaceus* czyli od *pullejaceus*) pochodzi; karmił się zapachami, które się z kuchni w *Baeja* rozchodziły, i wonią róż, które w *Paestum* kwitnęły; na ziemi *Kampanii* widać było ślady drewnianych sandałów jego, gdyż podówczas chodził jeszcze w drewnianych trepkach na długi czas wprzód, nim spostrzeżono ślady sandałów *Platona* i bronzowych pantofli *Empedoklesa*.

Pulcinella nie zmienił równie swojego charakteru, obyczajów, jak i powiérzchowności; zmienia on tylko według potrzeby swoje miny i język, lecz ubiór prawie zawsze ten sam pozostaje; zajmuje się jedynie wypadkami dziennémi i osobami znanemi, które chwali albo wyśmiéwa, którémi gardzi lub których się boi. Posiada on filozofiją owych ludzi, którzy wiele widzieli i doświadczyli, i jest najdoskonalszym samolubem; serce jego podobne jest do jego sandałów z najtwardszego drzewa; nakoniec moralność jego jest bardzo giętka; skoro od zbirów jest zabezpieczony i pewny korzyści, gotów jest bez wszelkiego skrupułu oszukać, a nawet i zabić. Z resztą wygląda zupełnie jak gap' swobodny, jest zawsze w dobrym humorze i wyraża się z największą otwartością; ale trudna rzecz do uwierzenia, ile chytréj przebiegłości i oszukaństwa pod swoją prosto-duszną maską ukrywa. Gdy się uśmiéchnie, wtedy niezawodnie jakąś psotę spłatał; gdy się w głos roześmieje, wtedy z pewnością wnosić można, że przeciwnika swego zbił na kwaśne jabłko.

Jak wszystkie główne osoby gminnych teatrów włoskich, tak i *Pulcinella* lubi namiętnie płeć piękną; lecz w tym punkcie nierównie więcéj ma doświadczenia i biegłości, niż n. p. *Stentarello* i *Cassandrino*. W obecności niewiast jest surowy, satyryczny, niekiedy bezczelny, zawsze przedsiębierczy; nawet dziwić się wypada, iż pomimo »nieznacznych«, lecz zanadto »widocznych« przywar swojéj osoby, tak wielką u płci pięknéj ma łaskę. Stałość jest cnotą, którą *Pulcinella* poszczycić się nie może; nie masz aby jednego dnia, w którymby nie oszukał jakiéj kochanki, odmienia on przedmiot swojéj skłonności częściéj, niż swą koszulę, chociaż jak na Neapolitańczyka dość czystą bieliznę nosi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAMEK OPUSTOSZAŁY.

(Przełożył z niemieckiego Władysław hr. Łoś.)

O sto sążni od miasteczka *Vendome*, wznosi się nad brzegiem Leary stare, odosobnione zamczysko pokryte dachówką. Miejsce, na którém dawniéj ogród rozciągał się wzdłuż rzéki, a pyszne cisy i bukszpany ulic i tarasów, dawniéj starannie obcinane, rozpościéraja w wiatry bujne gałęzie. Szkodliwe chwasty rosną po spadzistych brzegach rzéki, a pochylone drzewa od lat dziesiątka nieczyszczone, obwieszone lichym i niezrywanym owocem. Szpalery stały się błędnikami, ścieżki niegdyś piaskiem wysypane, porastają trawą i ledwo je wyśledzić można. Z wiérzchołka góry, na którym widać zwaliska starego zamku książąt z *Vendome*, otwiéra się widok na spaniałe plantacyje, i tu daje się spostrzegać wiejski letni dóm z ławkami, które mchem porosły i z stołami ztoczonémi od robaków. Na wchodzie stoi kompas z nadwątloną podstawą, a na nim treściwy napis: *Fugit hora brevis*.

Zamek jest już nie do odnowienia; okienice ciągle szczelnie zamknięte, nie dopuszczają powietrza do ogołoconych ze wszelkich sprzętów pokojów; wilgoć, gorąco, susza i zimno przyczyniły się do zczernienia ścian, poplamienia sufitów i zatarcia malowideł. Drzwi nie otwiérają się nigdy; bujny chwast rośnie pomiędzy stopniami wschodów prowadzących do głównego wnijścia, a rygle i wrzeciądze bramy, zardzewiały. Ciszę téj pustyni przerywa tylko czasami świérgotanie ptaszków budujących sobie gniazda na balkonie; sowa niemiłym wrzaskiem oznajmia swe prawo do téj siedziby, a niedopérz jakby zły duch, opiekun tego miejsca, rozpościéra ciemne skrzydła pomiędzy bluszczem wijącym się po zwaliskach muru. Ani życia, ani ruchu w tych miejscach; wszystko posępne, puste, oniemiałe; rzekłbyś, niewidoma ręka wyryła tu wszędzie słowa: »*Tajemnica!*«— Mówią, że to było dawniéj mańastwo zwane: »*La grande Breteche*«; dzieje jego mało wiadome, a i tę ciemność osłania.

Jesienią roku 1816 w chłodny i niemiły wieczór, właśnie gdy notaryjusz z *Vendome* zamyślał udać się na spoczynek, zatrzymał się nagle przed jego mieszkaniem powóz i oznajmiono mu, że hrabina Mêrset życzy sobie, aby natychmiast przybył do *la grande Breteche.* Mówiono z pewnością, że nie doczeka ranku i że przyjęła ostatnie pomazanie. Była pogłoska, że hrabia i hrabina od pół roku szczególne życie prowadzili; nie przyjmowali nikogo; hrabina mieszkała w jednem skrzydle pałacu a hrabia w drugiém. Krótko przed przybyciem notaryjusza, hrabia opuścił nagle zamek i odjechał do Paryża, gdzie prowadząc rozpustne życie umarł niebawem. Po odjeździe hrabiego, kazała hrabina ogołocić zamek ze wszelkich ozdób, mnóstwo sprzętów, obić, dywanów, i obrazów spalić lub zniszczyć zupełnie; odtąd zamknęła się w pokoju i wychodziła tylko na mszę do pobliżkiego kościoła; nie przyjmowała nikogo, prócz swego spowiednika, którego odwidziny miały być częste i długie. Sąsiadki miejskie szeptały między sobą, że się bardzo odmieniła, lecz gęsta, czarna zasłona, którą się podczas mszy zakrywała, nie dozwalała się o tém przekonać.

W kwiecie młodości, jako jedna z najbogatszych dziedziczek w *Vendome,* poszła za hrabiego Mêrset. Świat cały zwał to małżeństwo szczęśliwém, chociaż tu owdzie posądzano hrabiego o zazdrość. Nagła zmiana, która między niémi zaszła, stała się powodem rozmaitych domysłów i prawie powszechnie przypisywano to obłąkaniu. Hrabina leżała na śmiertelnéj pościeli, a nikt nie wiedział, że była słabą, gdyż nie chciała się radzić doktorów, przeczuwając może, że jéj stan jest do niewyleczenia.

Było koło północy gdy notaryjusz przybył do *la grande Breteche* i poszedł na górę po ciemnych i wysokich wschodach. Przeszedłszy kilka dużych, pustych i ponurych pokojów, stanął nareszcie z pomocą przyświécającego mu sługi w pokoju, w którym na łożu bogato jedwabnémi kotarami osłonionem, leżała umiérająca hrabina. Blask lampy stojącéj przy łóżku na stoliku, gdzie się także krzyż ze słoniowéj kości znajdował, padał na poduszki podpiérające jéj bladą postać. Resztą sprzętów, było łóżko jéj wiernéj sługi, i parę krzeseł z poręczami. Chociaż noc była zimna i burzliwa, jednak nie palił się ogień na obszérnym kominie, a ściany ciemnémi obiciami okryte, nadawały pokojowi okropną posępność.

Gdy notaryjusz przystąpił do łóżka zląkł się ujrzawszy istotę widma, któremu podobną była hrabina w postaci siedzącéj; jéj wielkie czarne ślklanne oczy, nieporuszenie w jeden punkt zwrócone, zdawały się nie należéć do żyjącéj istoty; twarz była jak z wosku; z pomiędzy czarnych, pięknych włosów przebijał się nierzadko włos siwy, chociaż liczyła zaledwie lat trzydzieści; ręce były całkiem pomarszczone, skóra pokrywała same kości, a żyły i muskuły na wiérzch powybiégały. W jéj wychudłéj postaci pozostały ślady piękności. Blade jéj usta zaledwie się ruszały gdy mówiła. Z urzędu swego widywał często notaryjusz umiérające osoby, jednak walka ze śmiercią, łzy i rozpacz wszystkich rodzin, nie uczyniły na nim tak wielkiego wrażenia, jakie uczuł téj nocy, widząc tę panię umiérającą w cichości śród ogromnego i pustego zamku. Całe to zdarzenie przesuwało się przed jego oczyma, jak obraz śmierci; żaden głos żyjący nie przerywał uroczystéj ciszy tego miejsca. Nakonice poruszyły się jéj wielkie oczy, usiłowała podnieść prawą rękę, lecz ją siły opuściły, i znowu padła na łóżko; słowa wychodziły z jéj ust, jakby cichy oddech; głos jéj był mdły i bez dźwięku. »Czekałam na pana długo i niecierpliwie«, mówiła, a słaby rumieniec powlókł jéj jagody. »Łaskawa pani«, ozwał się notaryjusz, lecz dała znak, aby milczał, a w téjże chwili zerwała się z krzesła jéj dozorczyni i poszepnęła mu: »Niech pan milczy.«

Usłuchał notaryjusz i siadł na wskazaném mu miejscu. W kilka chwil potém zebrała pani Mêrset wszystkie swe siły, aby wydobyć rękę z pod poduszek; zmęczywszy się, odpoczęła, i dopiéro za drugiém usiłowaniem wyciągnęła opieczętowany papiér; rzęsny pot wystąpił na jéj czoło i mówiła cicho do swych słuchaczów. »Oddaję panu moje ostatnie rozporządzenie«—słabe westchnienie wymknęło się z ust jéj. — »Ach Boże przebacz mi!« zawołała, chwyciła krzyż stojący koło łóżka, przycisnęła go do ust i — oddała ducha. Jéj ostatnie wejrzenie wyrażało radość, któréj ślad pozostał na obliczu umarłéj.

Gdy otworzono testament, dowiedziano się, że notaryjusz z *Vendome,* był mianowanym jego wykonawcą, i że cały swój znaczny majątek, z wyjątkiem niektórych legatów, przeznaczyła szpitalowi w *Vendome.*

Jéj rozporządzenie co do zamku *la grande Breteche* było szczególniejsze i wzniecało wielkie podziwienie. Zamek wraz z przyległościami miał przez pięćdziesiąt lat zostawać w tym samym stanie jak był po jéj śmierci; wszystkie pokoje miały być dobrze pozamykane i nikt pod żadnym pozorem nie miał być do nich wpuszczonym; żadne polepszenie nie miało być przedsiębrane, tak co do zamku jako i ogrodu, lecz wszystko zostawione w swoim stanie. Jeżeli

te życzenia umiérającéj aż do przeznaczonego terminu ściśle wypełnione zostaną, natenczas *la grande Breteche*, staje się nieodzowną własnością notaryjusza i jego dziedziców; skoro by zaś je w czém naruszono, tedy przechodzi ten zamek w ręce prawnych dziedziców hrabiny, którzy równie jak notaryjusz zobowiązani być mieli pewnemi warunkami wyrażonemi w kodycylu, a ten po latach pięćdziesięciu miał być odpieczętowanym.

Kilka lat już upłynęło, a razem z niémi i ciekawość wzniecona śmiercią hrabiny Mèrset, jéj dziwnym testamentem i upadkiem pięknego zamku. Przypadek nakoniec wyjaśnił to tajemnicze zdarzenie. Ksiądz z poblizkiego klasztoru był przywołanym do umiérającéj Rozalii Lebas, która mu dziwną, a zarazem okropną tajemnicę wykryła. Po śmierci księdza znaleziono w jego papiérach to, co następuje:

»Blizko przez pół roku przed śmiercią hrabiny Mèrset, była hrabina słabą i miészkała w pokojach odosobnionych od hrabiego. Okna jéj sypialni wychodziły ku rzéce i widać z nich było dolinę, którą płynęła. W ściance tego pokoju było wydrążenie, mające cztéry stopy, w czworobok drzwi śklanne, a służyło za kaplicę. Pewnéj nocy wrócił hrabia o dwie godzin późniéj niż zwykle z pewnego towarzystwa, w którém czytywał gazety i zabawiał się grą lub rozmową. Nim poszedł do siebie, pytał Rozalii służącéj, czy się już hrabina udała na spoczynek. Téj nocy chciał jéj sam opowiedzieć swoję grę nieszczęśliwą (gdyż przegrał znaczną summę.)

Jego już znajomy chód ozwał się na krużganku; w chwili gdy ujął za klamkę zdawało mu się, że drzwi kaplicy nagle przymknięto; lecz wszedłszy do pokoju, zastał hrabinę Mèrset stojącą przy kominie, na którém jeszcze węgle tlały. Zrazu mniemał że Rozalija weszła do kaplicy, z któréj nie można było wyjść tylko przez pokój hrabiny. Podejrzenie przebiegło mu przez myśl błyskawicą; ostro spojrzał na swą żonę, i zdawało mu się, że dostrzegł jakąś niespokojność, i że przed jego badawczém spojrzeniem skryć by się chciała. »Późno dzisiaj przychodzisz«, rzekła cicho drżącym głosem, który zwykle był donośnym i miłym. Hrabia nic na to nie odrzekł. Rozalija weszła do pokoju; z przestrachem odwrócił się, założył ręce na krzyż, i przechadzał się raźnémi kroki po pokoju. »Słabyś lub złą nowinę przynosisz mój luby«, spytała hrabina, gdy tymczasem Rozalija przystąpiła ją rozbiérać. »Odejdź!« rzekła hrabina do swéj pokojówki, gdyż widziała na czole swego męża wznoszącą się burzę i chciała ją znieść sama. Skoro Rozalija wyszła, zatrzymała się podedrzwiami podsłuchując; zbliżył się hrabia do swéj żony i rzekł obojętnie z udaną wesołością, chociaż jego usta drżały i twarz pobladła z wewnętrznego wzruszenia. »Ktoś jest w kaplicy.«

Hrabina spojrzała na niego spokojnie, a nawet z pewną dumą i odrzekła: »*Nie* mój mężu«; to *Nie,* jak nożem serce mu przeszyło, gdyż nie mógł jéj wierzyć, a jednak nigdy nie zdawała mu się być niewinniejszą, jak w téj chwili. Postąpił ku kaplicy dla przekonania się o tém, gdy żona wziąwszy go za ramię wstrzymała go, i patrząc nań przez chwilę z wyrazem smutku, rzekła ze wzruszeniem: »Pamiętaj, że jeżeli nie znajdziesz nikogo, natenczas wszelki związek między nami zerwany na wieki!« Niewypowiedziana godność malowała się w jéj spojrzeniu i zachowaniu, a ta niszczyła jego podejrzenie i odwiodła go od przedsięwzięcia.

»Nie Józefino«, odrzekł, »nie otworzę tych drzwi, gdyż winnie lub niewinnie, musielibyśmy się rozłączyć. Lecz słuchaj: znam czystość twego serca i nieskazitelność postępowania; niebyłabyś w stanie popełnienia grzéchu z narażeniem swego sumienia. Oto krzyż, przysięgniéj mi przed tym świętym znakiem, że nié masz tam nikogo, a już tam nie wnijdę.« Hrabina wzięła krucyfix i rzekła z-cicha: »Przysięgam.« »Głośniéj«, rzekł hrabia, »i powtórz te słowa: ***Przysięgam na pana Jezusa,*** że tam nié ma nikogo!«

A ona powtórzyła za nim słowa przysięgi bez najmniejszego znaku zmiészania.

»Dobrze«, rzekł hrabia, a po chwili wpatrując się w krzyż słoniowy, dodał: »Masz tu coś nowego, czegom dawniéj nie widział, anim wiedział, że posiadasz.«

Znalazłam go przypadkiem u Duwiwiera, który go kupił od jeńca hiszpańskiego, przechodzącego przez *Vendome.*

Hrabia postawił krzyż na kominie i zadzwonił. Weszła Rozalija. Poprowadził ją do okna i rzekł: »Słyszałem, że tylko ubóstwo przeszkadza twemu zamęściu, i że skoro twój Filip majstrem zostanie, oddasz mu rękę. Pójdźże, znajdź i przyprowadź go tutaj, niech zabierze z sobą narzędzia mularskie. Skoro to zrobisz, zostaniesz szczęśliwszą, niżli spodziéwać się mogłaś. Zrób to tak, aby nikogo w domu nie zbudzić, osobliwie nie wygadaj się przed kim.— Bo skoro słówko.... uciął, zmarszczył czoło i dziko spojrzał na nią. Chciała odejść i wypełnić jego rozkaz: »Stój!« zawołał, »oto masz wytrych.« Potém krzyknął grzmiącym głosem w korytarz »Ludwik«, a wierny sługa przyszedł natychmiast; hrabia rozkazał mu oznajmić całéj

służbie, aby się udała na spoczynek.—Podczas tych rozporządzeń nie spuszczał z oka z swéj żony, a wnet zbliżył się do niéj i siadł przy kominku.

Rozalija wróciwszy zastała małżonków toczących obojętną rozmowę. »Panie hrabio, już jest Filip.« — »Niech wnijdzie«, odrzekł. Ujrzawszy mularza zbladła hrabina. »Filipie«, rzekł hrabia. »Zamurujesz te drzwi, a materyjał znajdziesz na dziedzińcu.« Potém wziąwszy Rozaliję i jéj kochanka na stronę rzekł: »Słuchaj Filipie, tę noc tu zostaniesz, a jutro dam wam paszport, pojedziecie do pewnego miasta, które wam wskażę; tam musicie zostawać przez lat dziesięć. Na drogę każę wam wyliczyć 6000 franków. Z tąd pojedziecie do Paryża, i tam zaczekacie na mnie, a skoro przybędę, dam wam rewers na drugie 6000 franków, które wam po latach dziesięciu wyliczone zostaną, skoro pewnych warunków dopełnicie, a piérwszym z nich jest: zachować zupełną tajemnicę o tém, co się dziś stanie. Tobie Rozalijo wyznaczam kapitał 10000 franków, który będzie wypłacanym od dnia zamęźcia z Filipem.« Filip wziął się do roboty, a hrabia przechadzał się po pokoju; gdy się oddalił w jeden koniec, hrabina korzystała z téj chwili i z głośnego stuku mularza, i poszepnęła Rozalii: »Masz sto talarów rocznie przez całe życie, jeżeli Filip zostawi niepostrzeżoną szparę w murze.« A gdy się hrabia znowu zbliżył, rzekła głośno i z dziwną spokojnością: »Idź Ruziu pomódz Filipowi.« Małżonkowie zachowali głębokie milczenie. Gdy mur był do połowéj doprowadzony, stłukł mularz szybę i spojrzał z wyrazem na panią M e r s e t, dając znak, że w tém miejscu mur rozebranym być może.

Już dnieć zaczęło, gdy robota została ukończoną. Hrabia i hrabina udali się na spoczynek; a mularza oddano pod dozór Ludwikowi.

Nazajutrz zjadłszy hrabia śniadanie w pokoju hrabiny, wziął kapelusz i powiedział tonem obojętnym, że idzie do sędziego po paszport; włożył krzyż do kieszeni, i pożegnał się ozięble.

Hrabina pomyślała sobie: »Wychodzi i pewnie się dość długo zabawi.« Zadzwoniła, a gdy Ruzia przyszła, zawołała: »Prędko Ruziu przez Boga prędko!« Rozalija przyniosła szynę żelazną i starali się odwalić jeszcze mokry mur w oznaczoném miejscu. Rozpacz podwajała ich siły, a ponury głos ze środka zachęcał ich do nowych natężeń. Już byli właśnie kilka cegieł odwalili i powiększali coraz więcéj otwór, gdy nagle hrabia w okropnéj postawie stanął przed niémi. Hrabina ani krzyknęła, ani słowa nie rzekła, tylko padła na ziemię bez pamięci.

»Zanieś panię na łóżko«, rzekł hrabia ozięble do Rozalii. Przewidział on był skutki swéj nieobecności, i założył sidła, w które wpadła biédna hrabina. Pisemnie prosił burmistrza o paszport i posłał po Duwiwiera, którego przybycie oznajmiono. »Duwiwier!« rzekł do wchodzącego jubilijera. »Czyś kupił ten krzyż od hiszpańskiego jeńca?« — »Nie panie hrabio, nigdym go nie widział.« — »Dość, dziękuję ci«, i spokojnie postawił krzyż na swojém miejscu. Potém rozkazał Ludwikowi, aby dawano zawsze obiad w pokoju hrabiny i dodał: »Gdyż ona jest za słabą, abym ją mógł opuścić na chwilę, póki nie wyzdrowieje.«

Przez piętnaście dni czuwał hrabia M e r s e t przy swojéj żonie. Piérwszych sześć dni dawał się słyszeć szmer w zamurowanym gabinecie, który rozpaczą, oburzeniem i zgrozą napełniał duszę winnéj; a skoro chciała padać do nóg hrabiemu z prośbą o łaskę dla umiérającego cudzoziemca, wstrzymywał ją natychmiast w przedsięwzięciu przedłożenia prośby témi słowy, które z dumą i niesłychaną zatwardziałością wymawiał: »*Przysięgłaś mi przed tym krzyżem, że tam nikogo nie ma.*«

D O ***.

CHCESZ KWIATKA?

Kochanko! wiosna we kwiaty bogata —
Kto ich chciał tylko ten dostał odemnie!
Miałem ich pełno dla całego świata:
Ty sama jedna poprosisz daremnie?

Wzięła je przyjaźń — wzięła dawna wiara —
Wzięły cierpienia — pamiątki swobodne —
Wzięła niejedna młodych złudzeń mara;
Może téż wzięły i ręce niegodne. — —

Luba! czy i ty kwiateczka zażądasz?
Ty, coś mém słońcem, mą żywotnią siłą —
Wszystek kwiat twoim — gdzie tylko spoglądasz,
Wszystkie te kwiaty twe słońce zrodziło. —

Wszystek kwiat tobie tylko się uśmiecha,
W czyjéj bądź dłoni — tobie tylko woni,
A barw harmonija mówi tobie z-cicha:
Że bez cię marnie więdnie i usycha. — —

M. S.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 44. i obejmuje: 1) Dla czego większe majętności mniej dają przychodu niż mniejsze. 2) Zachowanie ogrodowin przez zimę na gruncie. 3) O rozwolnieniu jagniąt, przez Sebastyjana Hanenschild w Oberhollabrunn. (Dokończenie). 4)

Ferment najlepszy do zboża i kartofli i t. d. 5) Nowy dotąd mało znany sposób, sok z buraków do fabrykacyi cukru, łatwym i pożytecznym sposobem uzyskać. 6) Wiadomości czasowe.

Numer 21. *Dziennika mód paryskich*, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, zawiéra następujące artykuły: 1) Mody. 2) Ludyci, powiastka. 3) Melodyja hebrejska z Byrona. 4) Czarny Duglas 5) O *Bogach Grecyi* przez A. B. 6) Teatr lwowski, przez L. D.—B. 7) Rozmaitość.

Lwowianina, przeznaczonego krajowym i użytecznym wiadomościom, wydawanego w połaczeniu prac miłośników nauk, zeszyt czwarty opuścił prasę dnia 1go listopada r. b.

Drugi tom *Historyi literatury polskiéj* przez Michała Wiszniewskiego, professora Uniwersytetu Jagiellońskiego, już wyszedł z druku w Krakowie.

Z dniem 1go stycznia 1841 roku wychodzić będzie w Warszawie pismo miesięczne pod tytułem: *Biblijoteka Warszawska*, poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi. Obejmować ma: Dzieje,— Literaturę piękną,— Język,—Sztuki, — Krytykę, — Filozofiją, — Prawoznawstwo, — Ekonomiję, — Nauki ścisłe, — Przemysł,— Kronikę literacką i Rozmaitości. Do pisma tego redakcyja stosowna zapewnioną została. Redaktorem zaś głównym jest znany już w literaturze peryjodycznéj z wydania *Panoramy* A. J. Szabrański.

Donoszą z Litwy, że zbiérają się już zasoby do czwartéj części *Rusałki*, wydawanéj przez Aleksandra Grozę, a w trzeciéj wystąpią Henryk br. Rzewuski, ksiądz Hołowiński — i wielu znakomitych literatów.

Jeden z dzienników francuzkich donosi: Odkryto niedawno pewien uwagi godny owad, który po łąkach się znajduje. Ciało źwiérzątka tego wydaje z siebie zapach róży, który częstokroć tak jest mocny, iż się zdaje, jak gdybyśmy woń bukietu z róż wąchali. Owad ten wieczorem i z-rana na koniuszkach gałązek znaleźć można. (Odkrycie to nie jest nowe; owad *cerambis moschatus* już nieraz opisywano.)

Dziennik lékarski angielski zawiéra porównawczą tabelę średniego czasu potrzebnego na strawienie większéj części potraw używanych przez ludzi, opartą na licznych poświadczeniach i spostrzeżeniach. Podług tej tabeli najmniejszego czasu do strawienia, to jest jednę godzinę tylko, potrzebuje: Ryż gotowany, sago, nóżki wieprzowe, flaki i mózg. Półtoréj godziny trzeba do strawienia pieczonéj źwierzyny, jaj na miękko, perłowéj zupy, świéżych słodkich jabłek. Około dwóch godzin mléko gotowane, wątroba wołowa, stokfisz gotowany, kapusta kwaszona. Półtrzeciéj godziny: pieczona gęś, jagnię, potrawka z kury, łosos gotowany, pekeflcisz, cierpkie jabłka, kartofle pieczone i surowa kapusta. Około trzech godzin: gotowana wołowina, befsztyk, ostrygi, solona wieprzowina, baranina gotowana i pieczona, masło topione, rosół z kury, legóminy, pieczone jabłka, rzepa gotowana. Około czterech godzin: jaja na twardo, cielęcina, sér stary i twardy, chléb biały, kalarepa, kartofle gotowane, wędzony łosoś i t. d. Najdłużéj bo pięć godzin potrzebują do strawienia dzikie kaczki, zupa grochowa, a sześć godzin szynka.

Trapiści w Irlandyi. Wiadomo, iż spokojny zakon Trapistów w Mont-Saint-Michel pod Paryżem, z powodu wypadków w lipcu 1830 zmuszonym był wynieść się z kraju, i szukać w Irlandyi przytułku, którego im tamtejszy obywatel, sir John Keane spaniałomyślnie udzielił. Siedzibą ich jest Melleraj, czyli czarna góra w hrabstwie Waterford, przedstawiająca obecnie najpiękniejszy ogród, który jeszcze przed kilką laty był nieurodzajnym stepem. Od czasu jak nadmieniony obywatel przyjął do siebie Dr. Rejana, opata braci zakonu Trapistów, poszły dobra jego w dwójnasób w górę, gdyż wszyscy dzierzawcy przyległe grunta jego na sposób Trapistów uprawiać się starają. Gdzie spojrzysz okiem (opowiada pewien podróżny w londyńskim dzienniku *Sun*), wszędzie spostrzeżesz plennym kłosem okryte pola i bujne niwy, słowem cała okolica najpiękniejszy widok przedstawia. Zakon braci na gorze Melleraj, składa się z 80 członków, wszyscy noszą długą, brunatną szatę. Wszystek swój czas, wyjąwszy godziny przeznaczone na modlitwę i spoczynek, spędzają na uprawie ziemi. Idą spać o ósméj godzinie w wieczór, i bez względu na porę roku wstają o drugiéj godzinie z-rana; żywią się jarzyną z swych ogrodów, nie jedzą ani ryb ani mięsa, i piją tylko czystą, źródłową wodę; w ogólności co się tyczy pokarmu są bardzo umiarkowani. Kaplica tego instytutu jest piękna i pobudza do nabożeństwa każdego, który ją odwidza. Jakkolwiek wszyscy członkowie zakonu tego, ciągle jak najgłębsze zachowują milczenie, i bez ustanku są zajęci uprawą roli, jednakże osoby, które ciekawość lub nabożeństwo sprowadzi w to miejsce, znajdują u nich najgrzeczniejsze przyjęcie i najszczérszą gościnność.

Zdanie na korzyść kolei żelaznych. Najnowszy zeszyt wychodzącego w Londynie pisma *Railway Magazine* dowodzi, iż nié masz bezpieczniejszego sposobu do odbywania podróży, jak wozami parowemi na kolejach żelaznych. Koléj żelazną z Londynu do Birminghamu otworzono dnia 17go września 1838 roku. Do 31go sierpnia tegoż roku odbyły wozy parowe kilka milijonów angielskich mil tam i nazad, i przywiezły więcéj niż 1,250,000 podróżnych, którzy najmniejszej szkody nie ponieśli. Na kolei żelaznéj idącéj z Londynu ku południowo-zachodniej stronie w ciągu 27 miesięcy ujechano 553,700 mil i przywieziono 1 1/4 milijona podróżnych. Na kolei północno-związkowéj zaszedł takiż sam stosunek, i tak na wszystkich innych. Teraz zapytać możemy, jestże jaki inny tańszy, sporszy i bezpieczniejszy sposób odbywania podróży, jak na kolejach żelaznych?

Cierpliwość i wytrwałość Chińczyków. Wielkiéj uczoności u Chińczyków nie inaczéj dostąpić można jak tylko pracą i wytrwałością. Piérwsze lata spędza chłopiec w szkole na uczeniu się na pamięć ksiąg kanonicznych; drugie sześć lat na nauce frazesów, które do dobrego stylu należą, a trzecie sześć lat dla osiągnienia w téj mierze pożądanego celu. Już przed świtem dnia słyszeć możesz, jak chiński uczeń śpiéwa hymny z ksiąg świętych, w czem aż do późnéj nocy się ćwiczy. Opowiadają, iż pewien Chińczyk, dla przeszkodzenia, aby się nie zdrzymał, przywiązał włosy swoje do belki w izbie. Drugi jeszcze odważniejszy, gdy go sen zmorzył, kłuł się w udo ostrą igłą. Pewien ubogi chłopiec idąc za pługiem, aby się mógł uczyć, przymocował książkę do rogów bawołu, inny zaś, by do ciemnéj jego izdebki światło wpadało, i mógł się uczyć, wywiercił dziurę w ścianie swego sąsiada. Opowiadają także, iż pewien Chińczyk widząc, że w nauce pomimo wszelkiéj pracy, nie największe czyni postępy, z rozpaczy zarzucił książki i wziął się do rzemiosła; aż oto jednego dnia spostrzegł staruszkę, która spory kawał żelaza na kamieniu toczyła. Zapytał ją, na co to czyni, a ona mu odrzekła, iż potrzebuje igły, i dla tego toczy ten kawał żelaza, by z niego igłę uzyskać mogła. Chłopiec spostrzegłszy tak wielką cierpliwość w téj kobiécie, rzucił się znowu do nauk, i tak szczęśliwie się mu powiodło, iż wysoki urząd w państwie otrzymał.

Narzékania zbójców hiszpańskich. Pewien podróżny miał sposobność zabrania znajomości z rozbójnikami w Hiszpanii, i rozmawiał z jednym z nich, który właśnie dyliżans zrabował. Zbójca ten narzekał na swój stan podobnie, jak wszyscy negocyjanci; mówił, iż są złe czasy, że rzemiosło jego bynajmniéj nie popłaca, gdyż za wiele poczciwych ludzi miésza się w nie i psuje. Człowiek czatuje na powóz, rozdziela zdobycz, i zamyśla właśnie uprowadzić podróżnych dla wymuszenia okupu, aż oto nadchodzi liczniejsza banda, okładu piérwszą kijmi, odbiéra im schwytanych podróżnych i uchodzi z nimi. Podróżni pewni, iż będą zrabowanymi, nie biorą z sobą jak tylko to, co im najpotrzebniejsze, i noszą na sobie najlichsze suknie. Patrz wpan, rzekł do mnie, pokazując swój płaszcz podarty, nie jestże to hańbą, że człowiek takie gałgany kraść musi? Czy może poczciwy człowiek gorzéj być ubranym, jak ja jestem w téj chwili? Uprowadzamy wprawdzie podróżnych, ale powinowaci ich tak są zakamieniali w tych czasach, iż na okupienie ich, żaden sakiewki dobyć nie chce. Jesteśmy więc przymuszeni utrzymywać pojmanych, a po dwóch lub trzech miesiącach dla pozbycia się ich, musimy jeszcze na nich nabój prochu strwonić. Przytém musi człowiek sypiać na ziemi, żywić się żołędzią, stopionym śniegiem gasić pragnienie i co chwila na niebezpieczeństwo się narażać. Gdyby to się bezpiecznie zrobić dało, wolałbym już być poczciwym człowiekiem, i cała banda poszłaby za mym przykładem.—Podróżny mający wielki wpływ w rządzie, wyjednał dla bandy *indulto,* (amnestyję) i wrócił do zbójców, którzy ręka w rękę z pojmanymi podróżnymi do miasta weszli i z uniesieniem od mieszkańców przyjętymi zostali.

Napoleon i żołniérz. »A tyśto mój przyjacielu?« rzekł Napoleon, gdy przed nim stanął pewien stary gwardzista. »Czegoż żądasz odemnie?« — »*Sire*, wielkie nieszczęście mnie spotkało.« — »Może niesprawiedliwość, może pominiono cię w randze, nieprawdaż?« — »Nie, *Sire*. Mam zacną matkę, która spokojnie i szczęśliwie utrzymywała się z tego, cośmy jéj pięciu synów, wszyscy żołnierze jak ja, z swego żołdu dawali. Mieszkała w chacie, która zgorzała, a teraz nic jéj nie pozostało jak tylko 77 lat i łzy; zdaje się mi, że to dochód nie wielki.« — »Chcesz więc prosić o pensyję dla niéj? Sprawiedliwie, matka mego walecznego gwardzisty może polegać na mnie. Pomówię z ministrem spraw wewnętrznych. Jestżeś kontent?« — »Nie, *Sire*.« — »Do stu katów, trudno z tobą. No, czegoż ty chcesz? Może asygnacyi do skarbu?« — »Nie, *Sire*. Nie dla tego, aby twój podpis nie był ważny; lecz jak zaczną twoi komisarze odpisywać, zapisywać, rejestrować, stęplować, ja tymczasem już pewnie matki mieć nie będę. Słuchaj mój cesarzu, ja udaję się najkrótszą drogą. Przyszedłem z twojéj własnej ręki pożyczyć pieniędzy; abyś zaś nie sądził, że cię oszukać zamyślam, oto przyniosłem z sobą moję książeczkę; możesz sobie pensyję za mój krzyż odciągnąć; kwatermistrz wypłaci ją bez zwłoki.« — »Zatrzymaj twoję książeczkę mój waleczny; między dawnymi znajomymi, takimi jak my, dość na słowie; oto masz tymczasem tę sakiewkę (było w niéj 1000 franków), oddasz mi, jak pułkownikiem zostaniesz.« — »Dziękuję mój cesarzu, ale dla własnej korzyści twojéj, wypadałoby rychléj mnie kapralem zrobić, abym tem prędzéj mój dług zapłacił.« — Jakoż w kilka dni późniéj stary gwardzista otrzymał epolety podoficera.

Z Gandawy piszą: Maryja Schellink umarła tu w 84tym roku życia swego, a jéj pogrzeb odbył się w obec wszystkich kawalerów orderu legii honorowéj obecnych w mieście, sztabu załogi i mnóstwa wojskowych. Roku 1792 zaciągnęła się do drugiego belgijskiego batalijonu; w bitwie pod Jemappes odznaczyła się walecznością niepospolitą. Późniéj przeszła do 30téj półbrygady i znowu należała do kilku potyczek; odbyła świetną wyprawę do Niemiec; w bitwie pod Sławkowem (Austerlitz), okryła się sławą i została ranioną. Napoleon ozdobił ją krzyżem, który nosił na swych piersiach i wyniósł ją na stopień porucznika. W roku 1805 wyznaczono jéj roczną emeryturę 675 franków. Za powrotem z Włoch, przedstawiła się w mundurze cesarzowéj Józefinie, która ją obdarzyła szatą aksamitną.

Napady umysłowe. Juliusz Cezar cierpiał wielką chorobę. Muhamed podobnież; jednakże obadwaj byli wielkimi jenijuszami. Luter rzucał za diabłem kałamarzem, a Newton, którego Wolter zwał największym jenijuszem, jaki kiedy na ziemi postał, komentował Apokalipsę. Kardynał Richelieu, mimo wszelkiéj swéj jenijalności, wyobrażał sobie niekiedy, że jest koniem. Wtedy uganiał się galopem około bilaru; wiérzgając nogami w lewo i w prawo, trącał swoich służących, rżał jak koń i nieraz po całych godzinach hałasował okropnie. Potém ludzie jego zanosili go zwykle do łóżka i przykrywali ciepło; usnąwszy, pocił się mocno, a gdy się obudził, nie pamiętał bynajmniéj o swoich susach i galopadach, nie wiedział zgoła o niczem, co się z nim działo. — Podobne napady miewał także on wielki Chatam, ojciec Pitta. Czasami, gdy umysł jego Europą nie był zajęty, niewymowna czynność jego pastwiła się okropnie na nim samym; zapadał w szał nadzwyczajny tak dalece, iż nieraz krępować go musiano. Zjawienia takowe nie są rzadkie; — wszakże i Paskal, śród najgłębszych spekulacyj umysłowych, widywał straszną przepaść obok swego stolika. Hobbes, który w nic nie wierzył, drżał pociemku przed upiorami i czarownicami. Lord Napair, jenijalny wynalazca logarytmów, wyrachował z Apokalipsy z największą dokładnością dzień ostateczny, z śmiertelną trwogą oczekiwał jego przyjścia i przeżywszy go, wyśmianym został. Uprzejmy książę Louis de Bourbon, pełen z innych względów wiadomości, czuł w sobie częstokroć niepokonaną chęć do szczekania. W takim razie nikt nie mógł głosu jego od szczekania psa małego rozróżnić. Jednego razu napadła go ta chętka w obecności króla siedzącego na tronie, podczas uroczystego posłuchania. Konwulsyjnym krokiem przypadł książę do otwartego okna i zatkawszy sobie usta chustką, szczekał jak tylko mógł najciszéj.

Całunek za dwie gwineje z powodu dobroczynności. Na jednem zgromadzeniu dam w Anglii, podczas wystawy i sprzedaży robót kobiecych w dobroczynnym zamiarze, zaszła między jedną z dam zajmujących się przedawaniem tych robót a pewnym lordem, dosłownie następująca rozmowa: **Dama:** »Pan patrzysz na mnie tak uprzejmie, iż go zapytać muszę, czego sobie życzysz?« — **Lord:** Hm, chcę do sytu przypatrzyć się pani. — **Dama:** »To kosztuje gwineję.« **Lord** wyjmuje i daje pieniądz: »A cóż kosztuje pocałunek?« — **Dama:** »Dwie gwineje.« Na te słowa daje lord dwie gwineje i otrzymuje bez wszelkiego wahania się od powabnéj mistrys Hon... pocałunek.

Młodość. Pewien młody oficer szlacheckiego urodzenia przybył do Wersalu, jako goniec z wiadomością zwycięztwa, do odniesienia którego sam się znacznie przyłożył. Prosił o order Ś. Ludwika. Król musnąwszy go z uprzejmością po miękkiéj, nie porośniętéj jeszcze brodzie, rzekł: »Alež mój kochany, tyś jeszcze bardzo młody! — Z pośpiechem odrzekł oficer królowi: »Najjaśn. panie, kto **tak służy, nie służy długo!**«

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.